№ 29. Warszawa, dnia (8) 21 Lipca 1900 roku. Rok XLII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:

w Warszawie:		Z przesyłką pocztową:	
kwartalnie	rs. 1	kwartalnie	rs. 1.25
Za odnoszenie do domu kop. 10.		półrocznie	„ 2.50
		rocznie	„ 5.—

Rękopisów mniejszych Redakcya autorom nie zwraca.

ZA GRANICĄ: We Lwowie i Krakowie: Kwartalnie flor. 1.80. Na prowincyi flor. 2.20. W Poznaniu kwartalnie mr. 3, na prowincyi mr. 3.75. W innych państwach związku pocztowego kwartalnie rs. 1 kop. 60, lub walutą zagraniczną podług kursu.
Agencye główne na Galicyę: we Lwowie Agencya dzienników i inseratów St. Sokołowskiego Pasaż Hausmana l. 9; w Krakowie Księgarnia S. A. Krzyżanowskiego. Agencya główna na Niemcy Księgarnia Świętego Wojciecha w Poznaniu.

CENA OGŁOSZEŃ: Za wiersz petitu jednoszpaltowy lub jego miejsce kop. 12 „Nadesłane" wiersz garmontu kop. 50. Ogłoszenia przyjmuje Administracya pisma i wszystkie biura ogłoszeń warszawskie i znaczniejsze zagranicą. Zmiana adresu kop. 15.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna 26.—Telefon 106.

JULIUSZ ZEYER.

Na pograniczu obcych światów.

przełożył MIRIAM.

(Dalszy ciąg).

Wylała nieco wina na podłogę, i klęcząc, podaje bohaterowi złotą czarę. Duszkiem wypróżnił Maelgun puhar swadziebny. Odrzucił naczynie — i do Chiomary się zbliża. Wtem zatrzęsły mu się nogi. Usta mu bledną, oczy w dołach gasną, i bohater pada na ziemię jak kamień.

Strasznym śmiechem zawyje, jak wilk, Chiomara.

— Jad wypiłeś! — woła. — Na łożu twojem w objęciach spocznę Sinata, a trupa twego wyrzucę psom! Twój lud nie przyjdzie ci z pomocą, dolałam do miodów czarnego ziół soku, daleko ztąd będę z kochankiem swym, zanim woje twoi żelazny przemogą sen! Nie bezkarnie zelżyłeś Chiomarę!

Bez słowa wije się Maelgun w mękach konania, u stóp łoża swadziebnego. Chiomara długiem spieszy przejściem; w łono ziemi wilgotne wiodą schody, cienie pierzchają przed płomieniem pochodni, iskry lecą w mroki ciemnych zakątów. Drżąca ręka dziewy otwiera ciężkie drzwi — wykrzyk rozpaczy pod mrocznem zabrzmiał sklepieniem, Maelgun skłamał, więzienie próżne stoi! Chiomara tłucze białem czołem w skałę, rozpacznie rwie sobie włosy z głowy. Jak lwica pędzi z powrotem do swadziebnej sali, kędy Maelgun martwy u stóp łoża leży. Noga jej srogo głowę umarłego razi. „Skłamałeś!"—woła, i ręką chwyta go za włosy. Próżno wszakże nóż w stężałe wbija piersi; jako skała, niemy leży Maelgun. Cicho stoi Chiomara. Tak drzewo, w przedburznej, dusznej chwili, gałęzie ku ziemi smutnie zwiesza, czekając, aż wicher z górskich gniazd w objęcia je chwyci, a chmury — gromów pożar zrodzą i ciężkie ulew potoki. Serce jej drga w szponach rozpaczy, w głowie ciemność się rozgościła. Myśli wszystkie gasną jej w duszy. Tak ciemność zawłada w tajemną oną noc listopadową, gdy druidzi z zasłonionemi twarzami poświętny ogień wieczny gaszą, a potem powoli, na znak dany, ognisko po ognisku w całej gminie w mroźny mrok się otula, aż wreszcie noc straszna, rodzicielka światła, całą ziemię w moc swoją bierze. Ale nagle — jako tejże nocy święty ogień na górze czcigodnej znowu wystrzela, obraz żywota nowego—tak strzeliła myśl w opustoszałej głowie dziewy. Wlecze zwłoki Maelguna przed dom, do ogona rumaka je wiąże. Potem wraca do sali swadziebnej, dziko rzuca gorejącą na łoże pochodnię. Ogień bucha. Nie zwlekając chwili, na rumaka siada Chiomara i noc całą bez spoczynku gna. Nieszczęsnego małżonka w prochu z sobą wlecze. Włosy jej złote wieją z wiatrem, drzew gałęzie pierś smagają nagą, śmiech jej straszny płoszy ciągle konia. Na pagórku za lasem się wstrzyma. Obejrzy się w krainę za sobą. Niebo gore krwawo jak spiż rozpalona, gwiazdy srebrne bledną jakby w przerażeniu. Płomienie ze swadziebnej Maelguna łożnicy liżą czarne dymów słupy; skier ulewa, barwna jako tęcza, świetna jak kamieni drogich grad, potokami spada na chatyny ciche; pożar jak jezioro szerzy się ogniste, każda chatka ogniową jest falą; wzwyż ku niebu rwie sie, wzbija płomień, niby pyszny, zwycięzki, olbrzymi, smagający stropy niebios, język. Walące się domów mury grzebią w gruzach i dymie rodziny, które dotąd osłaniały przed wichrem i dżdżem, niby skrzydła samicy swe pisklęta chroniącej młodziuchne. Krzyk, jęk wojów, rozbudzonych z żelaznego snu po zatrutym ziół sokami miodzie, falą nocne rozbija milczenie. Chiomara tylko pięści wznosi, z ust jej klątwy padają tajemne. Pędzi dalej, dalej, dalej. Krew się leje z poszarpanych Maelguna członków, pohańbiony jego włos krwawe ściera ślady własnej krwi na głazach... Zmiłowania nie zna serce srogiej Chiomary... Martwa równia pod miesiącem wielkim, krwawym, drzemie, wiry pyłów błądzą po niej, niby niegrzebanych bohaterów dusze, wokół wycie zwierza pobrzmiewa dzikiego, z łona skalisk, sterczących śród piasku, wypłoszone leci nocne ptactwo, a w podziemia pomiędzy głazami, wzwyż ku miesiącowi, słupem czarny dym się wali. To potężnej czarownicy gniazdo. Nigdy ona słonecznej nie widzi światłości; w głębiach ziemi skryta, drgań tajemnych serca świata słucha, słucha głuchych a proroczych wieści, które z bezdni niezgłębionej płyną. Bez bojaźni stoi Chiomara przed straszliwym czarownicy zjawem. Białą ręką pociągnie bez drżenia za jej długiej, czarnej szaty fałdy.

— Wiem, żeś potężna jak bogowie sami!— wielkim głosem woła Chiomara.—Twoja wola panią jest żywiołów, po królewsku rozkazujesz gwiazdom, twego słowa słuchać musi księżyc, jeśli zechcesz, z niebios tła go stargniesz, i krwią brocząc zwali się na ziemię. Na twe słowo ziemia padłych wyda bohaterów popiół, na twój rozkaz próchno nieboszczyków z mogił odwiecznych do stóp twych popełznie, na twe skinienie nocny wiatr, w szczelinach czaszek zetlałych gwiżdżący, słowa w nich ludzkiej stworzy mowy. Na ciemności, przez ciebie władające, na los, który wszystko chłonie, na moc ową, co światu panuje, zaklinam cię, ciebie i twą wiedzę — niech ten nędznik martwy odpowiedź mi da!

Zmilka Chiomara, zrywa z pośpiechem z łabędziej szyi klejnoty iskrzące, z ramion i nóg złote kręgi, naramienniki, zapinki, pierścienie—wszystko pod nogi rzuca czarownicy.

— W ofierze ciemnym daję to bogom! — woła.—Złoto daję, zgubny ludziom dar, i krew daję, krew, którą przelałam, krew, którą oni

piją radzi. Zło i pomstę spełniłam! To i tobie, i twym bogom miłe.

Powstaje powoli wieszczka potężna, jedną ręką bierze Maelguna, rzuca martwe ciało potężnego niegdyś bohatera na stos zgotowany. Głęboko się bogom zgubonośnym skłoni, potem czarodziejską pocznie, grozy pełną pieśń. Brzmi to jak wycie wilków, gdy w noc zimową, głodem udręczone, szaleją w lasach, na postrach ludziom; jak skrzek nocnego brzmi to ptactwa, gdy się pod niebem bezmiesięcznem żali; brzmi to jak grom, gdy pnie drzew rozdziera, jak rzeki łoskot, kiedy zrywa brzegi. Tak śpiew jej zaklęć grozy pełnych grzmi. Jednocześnie truciznami twarz Maelguna kropi, jadowitym wężem białe mu smaga piersi, na pohańbioną głowę skry sypie czerwone. Zwolna trup podnosi się na stosie, oczy mu w dołach świecą jako błyskawice, włos się jeży, usta drgają, z gardła straszne wybiega rzężenie.

— Gdzie mój Sinat?—woła Chiomara.

Nieboszczyk głuchym odpowiada głosem:

— Biada mi! Za czarną moją zdradę, słodki dar żywota na wieki mi wzięto! Biada mi, żem słów miodowych tkliwego dziewczęcia kiedykolwiek słuchał; jeszczebym się szczęśliwie słońcem cieszył, a tak oto ciemność mym udziałem! Zdradne, podłe jest to plemię bardów. Krasę twą opiewał, Chiomaro, rozpłomienił namiętność w mem sercu, żądzę dziką wzbudził w dzikiej mojej duszy. We dnie, w nocy, wciąż pragnąłem ciebie. Sinat był mi druhem, pobratymem. Przysięgał mi to po tysiąc razy, że — mnie gwoli— morze, ogień zmoże, że i samą gotów ponieść śmierć! Widząc moją tęsknotę za tobą, ze śmiechem mi przyobiecał Sinat, że cię wyrwie, choćby z bogów mocy, że twe słodkie ciało na mem sercu złoży, że na twych piersiach tęskność swą ukoję! Ślub swój spełnił. Kłamał ci swą miłość, z bogów mocy wyrwał cię, jak przyrzekł, i do kryjówki przywiódł śród lasów, gdzie z podwójną czekałem cię tęsknotą. Bój o ciebie prostem był udaniem. Złotą harfę wziął w nagrodę za cię, lśniącobiałych pognał stado wołów.

Stoi Chiomara jako burza mroczna, piersi jej wzdymają się jak morze.

— A gdzie Sinat? — woła głosem gromu, paznogciami pierś łabędzią szarpiąc.

— Daj już memu ciału spocząć!—jęczy zewłok Maelguna na stosie.

— Gdzie jest zdrajca Sinat?—ryczy Chiomara, jak gdyby jałowica przed bogów ołtarzem ostrze stali w białem czuje ciele.

— W ciebym śnie pogrążony, drzemie u źródełka, gdzie raz pierwszy cię ujrzał—szepcze Maelgun.

Ciało jego ciężko na stos pada. Czarownica ogień w suche drzewo rzuca...

Strzałą leci Chiomara przez pieczarę, płoszy dziko rumaka bohatera Maelguna, rumaka długą znużonego drogą. Rozmachuje Chiomara nagim mieczem, mieczem bohatera Maelguna, grotem jego do krwi bodzie konia, leci, leci, dalej, dalej, dalej...

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z teki psychologa.

Znowu ogłasza słynny psycholog włoski Ferri wynik swoich badań na polu statystyki zbrodniczości wziętej porównawczo w rozmaitych państwach Europy. Oczywiście smutne pierwszeństwo ma tutaj południe całe, chociaż wnioski decydujące dałyby się z tych cyfr wtedy dopiero wyprowadzić, gdybyśmy wzięli obok każdej poszczególnej pozycyi treść warunków, w których przychodzi na świat człowiek—jego wychowanie, otoczenie, a w końcu pole działalności czynnej wraz z religią, z ogólnym stanem oświaty danego kraju, z bogactwem przyrodzonem ziemi, gęstością zaludnienia, konkurencyą pracy, stopniem użycia alkoholu, instytucyami państwowemi i społecznemi, i tylu, tylu najróżnorodniejszymi czynnikami składającymi się na całość bytu jednostki.

Tego wszystkiego nie podaje oczywiście uczony badacz, i dlatego cyfry te ponure pełne są dla czytającego ogółu tajemniczości nieodgadnionej — tem straszniejszej właśnie, że się każdy objaw tak zagadkowo przedstawia, a niekiedy objaśnienia fałszywie wypadają. Otóż podług Ferri'ego na milion mieszkańców wypada morderstw: We Włoszech 96,9 — Hiszpanii 76,7—Węgrzech 75,4 — Rumunii 40,4— Austryi 24,4 — Portugalii 23,8 — Szwajcaryi 16,4—Francyi 15,7—Rosyi 15,2—Belgii 14,4— Szwecyi 12,9—Danii 12,4. Na końcu idą już cyfry bezwzględnie małe, a więc Irlandya ze swojemi 10,8—Niemcy 10,7 — Holandya 5,6— Anglia 5,6 i nakoniec Szkocya 5.

Bardzo to jest powierzchowne to ugrupowanie cyfr, ze względu mianowicie na różnoplemienność państw, na aglomeraty różnoszczepowe o odmiennych właściwościach kulturalnych i skłonnościach wrodzonych, charakteryzujących każdą poszczególną narodowość. W tej tabelce nie uwzględnił Ferri tych różnic, a widzimy z niektórych cyfr, że gdyby je nie wedle stopnia zbrodniczości, ale wedle położenia topograficznego na karcie Europy pogrupować, jakby to odskakiwało rażąco od siebie wiele rozmaitych pozycyj. Dwa oto państewka małe sąsiadujące ze sobą bezpośrednio, jak Belgia i Holandya, jakiż to przedział znaczny — pierwsza na milion $14\frac{1}{2}$ morderstw — druga tylko $5\frac{1}{2}$, zatem trzy razy mniej. Między Szkocyą a Irlandyą ta różnica cyfr do jakich posępnych myśli pobudzić może każdego.

Cóż dopiero powiedzieć przyjdzie postawiwszy obok siebie zbrodniczość takich Węgier, w stosunku do reszty monarchii Rakuskiej. W jednej właśnie z podobnych państwowych mięszanin znajdują się Węgry ze swoją w tej skali zbrodniczością trzeciego rzędu, wyrażającą się przez 75,4—obok reszta monarchii po większej części słowiańska, mająca w tej rubryce tylko 24,4, a ta reszta tak jest jeszcze przecież niejednolitą. Przekonani jesteśmy, że więcej podobnych szczegółów rzuciłoby na sprawę oświetlenie wprost odmienne, bo gdyby był Ferri wziął razem półwysep Iberyjski, byłaby się schowała cała niezmierna między Hiszpanią a Portugalią różnica, która tak niesłychanie razi w tej skali i tak jest pouczającą jednocześnie.

Nawet Włoch swoich nie powinien był Ferri tak ryczałtowo przedstawiać Europie. Części tego państwa niedawno zjednoczonego mają przecież każda swoją historyę właściwą, tak dalece odmienną, swoje odrębności kulturalne takie zasadnicze, że warto było z nich dać światu lekcyę poglądową tego naprzykład, co to pozostawić mogą po sobie za ślady wieloletnie rządy Burbonów Neapolitańskich, jak się przedstawiłoby dawne Państwo Kościelne, jak Lombardya, na której pozostać musiały także krwawe ślady Metternichowskiej gospodarki, Piemont używający rządów najliberalniejszych w całym składzie dzisiejszej monarchii włoskiej, Korsyka ze swoją furyą i wendettą i t. d., i t. d. Cyfra 96.9, którą górują Włochy w porównawczej tabeli zbrodniczości nad całą Europą, cyfra ta jest okropną, ale ona nie mówi nam bynajmniej wszystkiego i nie uczy nas tyle wiele powinna.

Przyszła na społeczności dzisiejsze chwila, w której nauka musiała wejrzeć w istotę, pochodzenie i przyczyny rozrostu instynktu zbrodniczego w rozmaitych warstwach społecznych, z rozróżnieniami wedle stanów wieku, płci i t. d. Musiała wejrzeć, bo szematyzm cyniczny administracyi, obserwacye takich psychologów, jakimi są klucznicy więzień, i niewiele wyżej od nich stojących pod względem humanitarnym tych więzień lekarzy, smutnie się bardzo do tej pory zasłużyły sprawie ludzkości. Szablon w postępowaniu sądowem przy dochodzeniach po spełnieniu przestępstwa, rzemieślnicze wywiązywanie się ze swego obowiązku obrońców sądowych, po większej części naznaczanych z urzędu, karygodne ospalstwo przysięgłych— wszystko to razem wzięte nietylko zmusza ludzkość po wiele razy do obejrzenia się za jakąś pierwotniejszą formą sprawiedliwości, ale nadto zniewala stwierdzić że danych, z którychby mogły sfery prawodawcze czerpać światło dla siebie, nie dostarczają te organa żadnych. Tylko nauka beznamiętna, nieinteresowna, niezamącona żadnymi względami niskiego porządku, zasługuje, aby jej słowa brać bez zastrzeżeń, aby iść za jej wskazaniami, ale cóż kiedy tych wskazań oprócz garstki ludzi światła i dobrej woli, nie bierze właściwie nikt do serca. Nauka czysta swoje, a pedagogia, sądownictwo, nawet praktyka lekarska częstokroć idą wbrew temu wszystkiemu, nie mówiąc już o takich czynnikach współczesnego bytu, do jakich liczy się dziennikarstwo ze swoim kierunkiem utylitarnym, swojem kramarskiem wystawianiem na sprzedaż wszelkiej nowości, choćby ta nowość zarazę dokoła rozsiewać miała.

Wieleż to razy w ostatnich czasach słyszeliśmy ze strony psychologów i moralistów ostrzeżenia, aby prasa, z wyjątkiem chyba specyalnej, to jest tej, która nie leży na oczach wszystkich, aby prasa przestała udzielać ogółowi stenograficznych sprawozdań z posiedzeń sądów kryminalnych? Na nic się nie przydały nietylko te nawoływania, ale i cały szereg wypadków stwierdzonych, nie podpadających wątpliwości żadnej, w których podsądny przyznaje, że pierwszą myśl o zbrodni zawdzięcza debatom sądowym, powtarzanym przez dzienniki wszystkie.

Chorobliwie rozbudzoną w tym kierunku ciekawość mas zaspokajają gazety na wyprzódki, poczynając od pierwszego przesłuchania po ujęciu zbrodniarza, jego zachowania się w sali sądowej aż do jego w ostatnim akcie odwagi wobec gilotyny. Powszedniość bytu, zatruty pokój, w którym rozkładają się społeczności, duch anarchii dozwalający dopatrywać się bohatera w przestępcy, składają się na opłakaną prawdziwie żądzę naśladownictwa, na którą natrafiają sądy w bardzo wielu wypadkach. Oto świeżo brygadyer-furyer artyleryi francuzkiej nazwiskiem Tonnellier, skazany na śmierć za spełnienie kilku morderstw, przyznaje się wprost, że instynkt zbrodniczy zrodziło w nim czytanie sprawozdań sądowych romansopisarstwo kryminalne, które stanowiły jego najpożądańszą strawę umysłową.

W książce swojej noszącej tytuł: „La France au point de vue moral,“ stwierdza ten pewnik Alfred Fouillée także i popiera go wielu dokumentami.

To wszystko jednakże jest tylko głosem wołającego na puszczy. Zaledwie otwarto pierwsze posiedzenie sądowe w Brukselli w sprawie zamachu na księcia Walii, już się ukazały sprawozdania stenografów w każdym miejscowym dzienniku—już prasa zagraniczna przez swoich specyalnych delegatów powtarzała każde zapytanie przewodniczącego, każdą odpowiedź obwinionego i współwinnych.

Boże miłosierny! Cóż to za rodzaj tych oskarżonych—jaka sprawa idyotyczna tylko w epoce naszej możebna—co za zeznania—jakie odpowiedzi i jakież to kwestye postawione sobie mieli tym razem przysięgli!

Ten królobójca bezwąsy, prawdziwy żak szkolny, ogłupiony, nieświadomy tego co zrobił, wykłamujący się niezgrabnie mimo należytej zapewne instrukcyi swego obrońcy — ci jego towarzysze, cóż to za zgraja kilkunastoletnich zdeprawowanych kantorowiczów, doprowadzonych do takiego właśnie stanu rzekomej niepoczytalności prawnej, jakiej potrzebuje matactwo obrońcy i zaślepienie stronnicze sędziów przysięgłych.

Wszyscy ci winowajcy są na rycinach jeśli nie podobni do siebie rysami twarzy, to identyczni bezwarunkowo jako typ. Te ich rozmowy w szynkowni takie odarte z logiki, z jakiegokolwiek nawet zapału właściwego młodości, ten pomysł wyrosły, jak się zdaje, jedynie przez to, że dwóch idyotów wbijało w ambicyę trzeciego idyotę drażniąc go tem, iż on nie potrafi dokonać tego, czem się przechwala — ów zakład wyszły ze sprzeczki — wreszcie broń sama nie warta naprawdę 10 centymów!

O wyborze osoby samej nie mówimy już nawet wcale, bo to jest wybór równie trafny jak ten, który zakończył życie cesarzowej Elżbiety. Szło im o zgładzenie osoby politycznej wysoko położonej, i trafili właśnie na jedną z takich, która się wszystkiem raczej, niż polityką zajmowała. Powtarzamy, że widowiska podobne godne są chwili powszechnej degeneracyi i powszechnego wściubstwa warstw i jednostek w sprawy całkowicie dla nich niezrozumiałe. Cóż to za nędza wyziera z tego epizodu! I sam Sipido przestępca główny, i jego współoskarżeni Mert, Peuchot i Meire zupełnie to samo robią wrażenie. A tymczasem prasa rozmazuje to ulicznikowstwo niedołężne, a dziesiątki tysięcy uczniaków pożerając dzienniki uczy się, jakim to sposobem wyjść można na człowieka wszechświatowej sławy. Piekielny prawdziwie sabat, zwłaszcza wobec ryczałtowego rozgrzeszenia winowajców z wszelkiej odpowiedzialności.

R.

SMUTEK.

Kilka uwag z dziedziny wychowania.

Każde pokolenie przynosząc ze sobą na świat pewną sumę właściwości dziedzicznych, staje wobec wychowawców jako swojego rodzaju zagadka, której rozwiązania szukać dopiero należy. Kto tej zagadki rozwiązać nie umie, ten przy najlepszych chęciach dojść może do bardzo smutnych rezultatów pracy.

Mało kto jednak, z pośród rodziców zwłaszcza, zdaje sobie z tego sprawę.

Pedagogowie i rodzice przyjmują zazwyczaj pewne metody postępowania z dziećmi oparte na własnem, osobistem doświadczeniu. Unikają oni starannie błędów, które zauważyli we własnem wychowaniu, stosują natomiast te środki i sposoby, które byłyby najodpowiedniejszymi dla nich samych za czasów ich młodości. Jednem słowem postępują tak, jak gdyby mieli do czynienia z duszą spółczesnego sobie pokolenia, nie biorąc pod uwagę, że pokolenie nowe urodziło się innem, niż poprzednie; inną ma duszę i inaczej postępować z niem trzeba. Z lekceważenia lub niedostrzegania tego faktu wynikają nieraz fatalne pomyłki.

O dzieciach dzisiejszych powiadają nieraz ludzie, że są: dziwne. Odznaczają się niezmierną wrażliwością, myślą, mówią jak ludzie dorośli. Odczuwają bardzo silnie wszelką przykrość; ból z powodu doznanej krzywdy doprowadza je do rozpaczy; popadają z łatwością w smutek—smutek bez nazwy i przyczyny.

Wszystko te objawy razem wzięte nazywają rodzice nerwowością. A że ze sprawami nerwowemi wogóle oswoiliśmy się bardzo, że nerwami tłómaczymy każde bardziej skomplikowane zjawisko czy to fizyologicznej, czy psychicznej natury, więc ta nerwowość dzieci nie niepokoi nikogo.

Rzeczą lekarzy i hygienistów jest zwalczać wszelkie inne objawy nerwowego rozstroju; co do mnie, chciałabym zwrócić uwagę matek, jako pierwszych opiekunek dziecka, na tę wrażliwość, na ten smutek dzieci małych.

Grzegorz Słowackiego powiada do swego wychowańca, że: „żadnych ludziom kłosów nie wysieją śmiechy, a smutek jako mądra księga w sercu żyje i czuwa nad człowiekiem, i człowiek nie gnije, jak muchomór pod sosną, lecz zbiera po szczypcie przestrogę do przestrogi...“

Ale mojem zdaniem Grzegorz był złym pedagogiem. Losy jego wychowańca stwierdzają ten pogląd. W najbardziej stanowczej chwili życia powrotna fala tych smutków dziecinnych sparaliżowała siły młodzieńca „Jedyną słabość skryję w sercu tajemniczem, robak smutku mię gryzie, tak, że mówiąc z wami chciałbym usiąść i płakać... lecz to żałość dziecinna, po niczem...“

Ta żałość dziecinna podcięła jego energię; zamiast człowieka czynu powstał bezpłodny marzyciel.

Jeżeli smutek dla człowieka dojrzałego, silnego umysłem i ciałem, może być niekiedy tą mądrą księgą, z której wybiera on przestrogę po przestrodze, to dla małej i wątłe dzieciny jest on złym duchem wysysającym jej żywotność.

Śmiechy puste zapewne nie wysieją ludziom kłosów, ale smutek jako nastrój stały i niezmienny stać się musi w końcu źródłem słabości.

Widok smutnego dziecka powinien skłonić nas przedewszystkiem do zbadania przyczyny tego smutku.

Bardzo rozpowszechnionem jest mniemanie, że dzieci martwią się zwykle z powodów błahych i drobnych. „Szczęściem są wasze lata niewinne. wpółmłodociane, a wpółdziecinne, bez doświadczenia i bez kłopotów“ — mówi nawet poetka znawczyni serc dziecięcych.

A jednak mylny to bardzo pogląd. Ileż to razy małe główki dziecinne pochylają się pod ciężarem trosk, właściwych niby tylko dojrzalszemu wiekowi. O ile kłopoty te mają źródło w okolicznościach zewnętrznych, życiowych, trudno, a czasem niepodobna ich usunąć. Sądzę jednak, że mają one mniej szkodliwy wpływ na organizacyę duchową dziecka niż cierpienia innego rodzaju, a nawet jeżeli trafią na naturę względnie dość silną, przyczynić się mogą do wyrobienia w niej niepospolitego hartu.

Ale są smutki, których przyczynę wskazać trudniej, bo tkwi ona w nadmiernej wrażliwości dziecka, w skłonności jego do przejmowania się panującym dokoła nastrojem, do wchłaniania w siebie niepojętych umysłowo, ale odczutych nerwami przerażeń i niepokojów, są tęsknice za czemś nieujętem i nienazwanem, pragnienia nieokreślone, z których dziecko wyspowiadać się nie może, nie umie, a często i nie chce. One to pokrywają bladością twarzyczki dziecinne, wyrazem smutku osiadają w oczach. Rozumie się, że podlegają im tylko natury subtelniejsze, t. zw. dziwne dzieci, ale tych dziwnych dzieci jakoś coraz więcej na świecie.

Z melancholią tego rodzaju koniecznie walczyć należy.

Ona to rodzi w późniejszym wieku brak wiary w siebie i w drugich, ona czarnym, żałobnym kirem powleka świat cały, ona jest wrogiem nadziei, miłości, i czynu. Ona nie pozwala pojąć czaru życia, odczuć jego uroków, ona czyni człowieka bezsilnym. Na jej tle też rozwijają się przeróżne choroby i zboczenia nerwowe.

Dziecko powinno być wesołe, nie tą wesołością hałaśliwą, która żadnych nie wydaje kłosów, lecz cichą pogodą duszy, spokojem wewnętrznym, wewnętrznem zdrowiem.

Hałaśliwa wesołość, jakkolwiek czasem bywa zupełnie naturalnym i koniecznym objawem, u natur melancholijnych jest najczęściej chwilowym tylko wybuchem, po którym

dziecko w głębszy joszcze smutek zapada, lub poddaje się nerwowemu rozdraźnieniu.

Nie zabawą tedy, nie wynajdywaniem coraz nowych igraszek leczyć można smutne dzieci. Najprostszem i najskuteczniejszem lekarstwem byłoby usunięcie przyczyn smutku. Ale to rzecz nie zawsze możliwa, a i przyczyny te niekiedy zdają się tkwić w samej organizacyi duchowej dziecka.

Wtedy trzeba umiejętnie usuwać z umysłu jego smutne i przygnębiające pierwiastki, zastępując je jakimiś motywami pełnymi radości i otuchy. Nie należy pozwalać mu na długie zadumy, pozostawiać w samotności. Trzeba obchodzić się z niem, jak z człowiekiem dojrzałym (bo też takie dzieci dojrzewają zazwyczaj przedwcześnie) trzeba ukazać mu cel, któryby je zajął, pochłonął, odwrócił od bezcelowych tęsknot i nienazwanych marzeń. Ruch, gimnastyka, wogóle życie czynne, nie jałowe przyczyniają się znakomicie do wewnętrznego zdrowia, do tej pogody, w której łagodnych blaskach tylko młode ziarna wschodzić, wzrastać i krzewić się mogą.

H. C.

Z za rzek i mórz.

Jak nas poucza doświadczenie świeżo zdobyte, nie przesadził bynajmniej dr. Bilroth pisząc przed dziesięciu mniej więcej laty swoją pamiętną pracę, której dał sensacyjny tytuł: „Biada ranionym!“ Znakomity uczony wyszedł podówczas z założenia, że jeśli dotąd na teatrach wojny organizacya lekarska była wadliwą, nieumiejętną i niewystarczającą, na przyszłość, wobec przewidywanego wielkiego wzrostu sił walczących, stanie się ona całkowicie niemożebną. Podając w cyfrach ilość rannych w największych bitwach, jakie oglądała ludzkość ostatniego stulecia, zastanawia się profesor wiedeński nad tem, co będzie gdy staną naprzeciw siebie zastępy o wiele bardzo przewyższające to wszystko, co nam podaje historya, a dodawszy do liczby zbrojnych tłumów morderczą skuteczność broni dzisiejszej, nie dziw, że mu się wyrywa ów okrzyk grozy, który w swoim czasie tak wielkie wywarł wrażenie w całym świecie cywilizowanym. Wiadomo powszechnie, że zarówno intendentura wojenna angielska, jak urządzenie szpitali wojenno-polowych, były niegdyś ostatnim wyrazem ulepszeń i poszanowania względów humanitarnych, a jednak czego się to Anglia dowiaduje dzisiaj od naocznego świadka o swoich ambulansach polowych w Transwaalu, i jakiemi krętemi drogami transpiruje ta niepocieszająca prawda do wiadomości publicznej!

Zrobiliśmy wzmiankę o krętych drogach z tego względu, że każdy wprawdzie z korespondentów pisał w listach swoich o niedostateczności obsługi sanitarnej w armii angielskiej, ale wszystkie tego rodzaju rewelacye najstaranniej usuwała cenzura ministeryum wojny, a pierwsze z tego rodzaju sprawozdań dlatego tylko ujrzało druk, że je deputowany zby gmin nazwiskiem Bourdett-Couts osobiście oddał „Timesowi“ i dopilnował przy pomocy wpływów swoich, aby raz przecie naród angielski dowiedział się, jak stoją istotnie te sprawy. Prawie jednocześnie z interpelacyą w Izbie ukazała się praca w tym najpoczytniejszym dzienniku londyńskim, i tym razem nie można już było przydusić prawdy.

Otóż mówi deputowany angielski między innemi, że gdy w dniu 28 Kwietnia zwiedzał barak szpitala polowego pod Bloemfontein urządzonego na 50 ludzi, znalazł tam chorych i ranionych ogółem 250, a między nimi 90-ciu było dotkniętych gorączką tyfoidalną. Przepełnienie to, jak na razie przypuszczał korespondent, musiało być chwilowem, i dlatego nie pośpieszył on zaalarmować opinii publicznej, w dwa tygodnie jednakże zwiedzając szpital powtórnie, zastał w nim ten sam zupełnie porządek rzeczy co przedtem. Chorych pożerały literalnie muchy tamtejszego klimatu, o których usunięciu nikt nie myślał — dniem i nocą pozostawali cierpiący bez opieki i obsługi najniezbędniejszej. Kogo trawiła gorączka, ten pod jej wpływem wychodził z baraku bezprzeszkodnie i błąkał się po polach, albo po obozie, a ranni byli ciągle świadkami zgonu swoich nieopatrzonych towarzyszów broni.

Dalekim jest przytem p. Bourdett-Couts od formułowania z tej racyi zarzutów ciału lekarskiemu, spełniającemu służbę przy armii Transwaalskiej. Wbrew przeciwnie nawet. Ludzie ci spełniali swój obowiązek z całą możliwą gorliwością, ale czego jest w stanie dokazać 3 lekarzy wraz z 25-ciu sanitaryuszami, gdy ma pod opieką swoją 500 pacyentów. A i ta służba w dodatku nie była wcale zrekrutowaną z sił fachowo przygotowanych do tego rodzaju posług; obsługę tego lazaretu składali po większej części żołnierze rekonwalescenci.

W odpowiedzi na interpelacyę malującą los ofiar kompanii Transwaalskiej w tak posępnych barwach, podsekretarz stanu w ministeryum wojny Wyndham, nie zaprzeczając bynajmniej autentyczności faktów utrzymywał, że rząd uczynił wszystko co mógł, a nawet uczynił więcej niż mógł, ale trudności były nie do pokonania.

Znaczyłoby to, że rząd angielski robił cuda, ale cóż z tego, kiedy tych cudów było za mało dla chorych, i ci nie poznawszy się na ich skuteczności umierali sobie, niby jacyś zwyczajni opuszczeni i zaniedbani pacyenci. Do tych wiadomości dodaje dziennikarstwo swoje komentarze, także zupełnie, jak słychać, wiarogodne i autentyczne. Mówi mianowicie prasa angielska, że tym żołnierzom najeźdźcom przychodził z pomocą barbarzyniec miejscowy boer, od którego Anglia chciała właśnie oczyścić terytoryum Transwaalskie w imię swojego dobrego prawa. Gorzkie są dla rządu do przełknięcia takie pigułki, gdy je podaje naród, ale...

To też nie należy się dziwić, że Anglii nb. Anglii nieoficyalnej, Transwaalska impreza nie przedstawia się już dziś jako tania, a przeto korzystna, co zarówno na konieczność i łatwość rewindykacyi w Chinach rzuca pewne nieprzyjazne oświetlenie. Bo też i ci Chińczycy szczególnie są nieufni, gdy chodzi o przyjmowanie wpływów naszej cywilizacyi. Nieuprzykrzyła im się tak dalece Europa, przynajmniej liczbą, a już się tak niegościnnymi okazują względem pierwiastków obcych, które się w Chinach zagospodarowywać dopiero zaczynały. Bo to garść prawdziwie była tych Europejczyków, o których losie dochodzą nas dzisiaj same sprzeczne, a jak się zdaje to chyba już wprost kłamliwe wieści, rozsiewane jedynie dla uspokojenia umysłów. Wystawcież sobie czytelnicy, że w roku bieżącym departament do spraw zagranicznych w Waszyngtonie takie odebrał od swego pełnomocnika w Tschi-fu dane statystyczne, dotyczące przebywających w państwie Niebieskiem przedstawicieli różnych narodowości obcych, wraz z notatką dającą obraz ich działalności handlowo-przemysłowej. Cyfry te są za rok 1899-ty, a zatem dotyczą położenia rzeczy w sam przeddzień dzisiejszego starcia.

Wszystkich razem ludzi nie należących, z wyjątkiem jednych Japończyków, do uprzywilejowanych rasy żółtej, było ogółem biorąc 13,421, a wedle pojedynczych państw dzieli się ta cyfra w ten sposób:

Anglików	3,462	—firm handl. i przemysł. 401
Japończyków	2,446	„ „ „ 195
Amerykanów	2,335	„ „ „ 70
Rossyan	1,621	„ „ „ 19
Portugalcz.	1,423	„ „ „ 10
Francuzów	1,193	„ „ „ 76
Niemców	1,134	„ „ „ 115
Hiszpanów	448	„ „ „ 9
Szwedów i Norwegczyków	244	„ „ „ 2
Duńczyków	128	„ „ „ 4
Włochów	124	„ „ „ 9
Hollendrów	106	„ „ „ 9
Austryaków	90	„ „ „ 5
Koreańczyków	42	„ „ „ 0

Zastrzeżenie robi sprawozdawca amerykański co do jednej tylko cyfry przedstawiającej ludność Wielkiej Brytanii, albowiem wśród figurującej w naczelnej pozycyi 3,562 mieszczą się i azyatyccy poddani cesarzowej Indyjskiej Wiktoryi.

Oto jest spis bardzo szczególny i bardzo ponury zarazem, za życie bowiem tych wszystkich ludzi, nikt w danej chwili poręczyćby nie śmiał.

Skoro już raz zaczęliśmy mówić o Chińszczyźnie, nie możemy pominąć niektórych sprawozdań francuzkich w dziale sztuki, a także wzmianki z ruchu wydawniczego obcego, które w jednym z pierwszych numerów bieżącego miesiąca ogłosił „Figaro”, gwoli informacyi czytelników swoich. Jedne i drugie są przepyszne, nieocenione. Sprawozdawca mówiąc o pracach malarzy polskich, krytyk, widać gruntowny i sumienny w swojem rzemiośle, szczególnie chwali wystawione obecnie w Paryżu obrazy dwóch żyjących artystów polskich Mickiewicza i Słowackiego, i trafnemi uwagami nad ich techniką stara się pouczać rodaków swoich. To jeden.

Inny znowu pan z „Figara” na pierwszej kolumnie tego pisma, to jest tej kolumnie, która reklamy wyjątkowo zręcznie owinięte i wyjątkowo dobrze płatne od czasu do czasu tylko pomieszcza, podaje wiadomość o pewnem tłómaczeniu na język francuzki jakiegoś dzieła autora we Francyi nieznanego zupełnie, który niewiadomo dzięki jakiemu zbiegowi okoliczności, doszedł w całym świe-

cie cywilizowanym w ostatnich czasach do bardzo wysokiej poczytności, a nawet sławy podobno. Ano cóż robić! Nie wprowadził go za rękę francuz, a mimo tego dał sobie radę. Trafiają się niekiedy tego rodzaju uzurpacye literackie. Wystawcież sobie tedy czytelnicy, że ten autor, którego z nielada mozołem wykrył współpracownik „Figara," jest to niejaki Sienkiewicz, a ta jego praca przetłómaczona na język francuzki nosi oryginalny tytuł „Quo vadis?" (nazwa która w pronuncyacyi francuzkiej sprawia zapewne efekt niezwykły). Rzecz, jak powiada „Figaro," osnuta jest na tle pierwszych dni Chrześcijaństwa. Dziwne, nadzwyczaj dziwne to wszystko!—bo i temat sam w sobie niewdzięczny, i autor nieznany...(!!) A mimo tego, dodaje wyraźnie kręcąc głową: Ameryka zrobiła edycyi tyle, Anglia tyle, w Rossyi było ich tyle i t. d., i t. d. Podobno i więcej nawet pisał ten Sienkiewitz jakiś, mianowicie: „Les Polaniecki's," „Sans dogme." O trylogii milczy roztropnie informacya bibliograficzna francuza, co mu się chwali, a co przypuszczamy stało się dzięki poczerpnięciu już u nas na miejscu wiadomości w tych mianowicie sferach, którym się Trylogia jako chybione naśladowництwo „Trzech muszkieterów" przedstawia. Jednak kuty na cztery nogi musi być ten francuz, że się nie dał wprowadzić w błąd, a o mały włos, że się nie potknął. Człek widać światły a bezstronny.

A. S.

Zapomniana poetka polska

z wieku XVIII-go.

(Dalszy ciąg).

Pod obrazem Najświętszego Sakramentu, przy którym Święci: Franciszek i Antoni.

Święty Franciszku i Święty Antoni,
Proszę, przybądźcie mnie w ostatniej toni
I błogosławcie mnie w strasznym momencie,
Niech Boga przyjmę w Świętym Sakramencie.

Pod Pasterzem Dobrym.

Najmilszy Jezu, Pasterzu kochany,
Któryś odkupił nas ciężkiemi rany,
Tyś ma ochłoda i wieczne kochanie,
Nie daj mi zginąć, Pasterzu i Panie!

Tym wszystkim modlitwom brak najzupełniej tego, co nazywamy „kunsztem" czyli „sztuką pisarską." Są to westchnienia duszy ciężko zbolałej a wierzącej, które cierpiąca, z przyzwyczajenia tylko i nałogu, obleka w formę rytmiczną i rymową.

Podniosły charakter poetki, która w cierpieniach nietylko nie bluźni, lecz się nawet nie skarży, i której wyłączną troską: doskonalenie się wewnętrzne, najpiękniej maluje wiersz poniższy:

Pod Najświętszą Panną Bolesną.

Bolesna Panno i Matko przy Synie,
W Twej protekcyi ma ufność jedynie,
Boś jest lekarka i duszy i ciała;
To choćbym ja się w chorobie zachwiała,
Duszę lecz moją, niech cierpię na ciele.
Wiem: umrzeć trzeba, krótko żyć czy wiele.

Ostatni urywek jest już jakby *in articulo mortis* pisany, czy też dyktowany.

Pod Jezusem, Maryą, Janem i Anną.

Jezus, Marya, Jan, Anna, to moje kochanie.
Przybywajcie na pomoc na moje skonanie.
Na Wasze ręce duszę i serce..

. . . .

(Końca niema).

IX.

Dział odrębny, choć w rękopisie nie zgrupowany oddzielnie, stanowią wiersze opisowe, które Niemiryczowa, wierna swej zasadzie, pod różnemi „figurami" kreśliła.

Tym razem były to figury ptaków.

Poetka, naśladując w tem swych poprzedników: Klonowicza, Szymonowicza („Nagrobki zbieranej drużyny") i innych, w ptactwie, zwierzętach, niekiedy nawet w przedmiotach martwych widziała jakby symbole pewnych wad, namiętności, spraw towarzyskich i politycznych.

Każdy jej wiersz tego rodzaju składa się z dwóch części: w pierwszej podaje opis ptaka, w stylu prawie „dydaktycznym," w drugiej przystosowywa ten opis do stosunków ludzkich.

Najlepiej okażą to przykłady.

Oto z jaką apostrofą zwraca się poetka nasza do Orła:

Drapieżny ptaku, coś na mięso łasy,
Czynisz po lasach, po polach, hałasy,
Za ptaszętami, które swojem żyją,
A przed tobą się gdzie mogą to kryją.
Bojąc się, żeby nie wpadł w twoje szpony,
Każdy się kryje, kto już raz zdradzony.
Czemuż nie trzymasz przypowiastki takiej:
Że się do Orła cisną wszystkie ptaki,
Lecz nie dla tego, by przycisnął żwawo,
Tylko, żeby im stawił się łaskawo.

Myśl piękna i niepowszednia.

Nieco filozofii życiowej znajdujemy w wierszu, zatytułowanym: „Pod kilku ptakami, z których jeden ma już zajączka w szponach swoich."

Jeden ptak ma już żywność pod nogami,
A drugie głodne zgrzytają dziobami;
Ten już zajączka porwał, jakby w sieci,
A innym muszka do dzioba nie wleci.
Tak się na świecie nieomylnie dzieje,
Ten profituje, a ten ma nadzieję.
Nierówne szczęście każdemu przychodzi—
Jednym pomoże, a drugim zaszkodzi.

Sztuki życia uczy też wiersz: „Pod kilku ptakami, które się zleciały do jednej wiszni."

Na jedno drzewko ptaszki się zleciały,
Nie wszystkie będą tu pożytek miały.
Jednemu wisznia pewnie się dostanie,
A innym pełno [illegible] w gardle stanie.
Nie leć tam ptaszku, gdzie wielka gromada:
Tam zysk jest mały, ale wielka zdrada.

Do tych wierszy, tak po prostu wykładających „filozofię praktyczną," dołączyć jeszcze nam trzeba następny, będący jakby parafrazą przysłowiowych słów Kochanowskiego: „Ten pan zdaniem mojem, kto przestał na swojem."

Pod trzema Ptakami wielkimi, z których eden ma żywność w szponach.

Dwóch ptaków, widzę, na jednego kraczą,
Bo pod nogami jego profit baczą.
Jedna to zazdrość w ludziach i ptaszynie,
Że dobrych wiele dla zazdrości ginie.
Chcielib (tak) mu wydrzeć, co mu szczęście dało,
A ten ptak kontent, czy wiele, czy mało.
Staraj się mocno, pracuj bez zazdrości,
To dosyć znajdziesz dla siebie żywności.

„Obożna Litewska" nie należała do tych rozmarzonych, sennych, w głębie własnej duszy zapatrzonych poetów, którzy po ziemi chodzą jak lunatycy. Przeciwnie, umysł jej był bardzo—może nawet za bardzo—trzeźwy; ze spraw ziemskich zdawała sobie sprawę dokładną; owszem, trzeźwości i zmysłu praktycznego posiadała tak wiele, że niemi innych jeszcze obdzielać mogła.

Przypomina tem Reja i wszystkich wogóle poetów rdzennie polskich, którzy na gruncie rzeczywistości zawsze krzepko stali.

Niekiedy, zapominając o moralizowaniu, kreśli czysto opisowy i dydaktyczny wizerunek, który uwagę jej zajął. Takim jest naprzykład opis „kurki wodnej."

Miła Kureczko, co po wodzie chodzisz,
A w życiu swojem nikomu nie szkodzisz,
Darmo cię człowiek chce ułowić żywy,
Chyba na piękność twoją czasem chciwy.
Bo nic nie umiesz, ni śpiewać, ni bawić,
Ni łowiącemu srogo się postawić.
Mięso też twoje nie do gustu cale;
Kto cię ułowi, te ma potem żale,
Że darmo, ciebie łowiący, pracował,
Z pierza i z mięsa nic nie profitował.

Wiktor Gomulicki.

(Dalszy ciąg nastąpi).

A. S.

KLĄTWA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

(Dalszy ciąg).

Z czegóż znowu będą żyli tamci? No, a przytem dyplomowany lekarz korepetytorem!.. Co ja to jednak utarczek stoczyłem o tę specyalność moją! Odradzali wszyscy — ja stałem przy swojem... no i stoję dotąd, jeśli wogóle tym terminem określić się da pozycyę moją. Pozycya! czyż to jest w istocie jakiekolwiek stanowisko?"

Posępny ten tok myśli przerwał posługacz zawiadamiający o przybyciu dyrektora zakładu. Zetknęli się z sobą na schodach głównych, i dziś jak codziennie odbywała się wizytacya regulaminowa, tem tylko różniąca się od zwykłej, że ponury nastrój i liczne roztargnienia d ra Wernera zdawały się na jego

zwierzchniku wywierać wrażenie jak najprzyjaźniejsze. Po raz pierwszy, powiedzieć można, był ten ostatni z pomocnika swego zadowolonym zupełnie. Bo mu też doprawdy każdy dzień zatruwał dotąd krytyką całego raz na zawsze przyjętego trybu i nieustającemi żądaniami zmian — nb. zmian kosztownych, całkowicie na gruncie naszym niedopuszczalnych. Ztąd też wyrażał się trywialnie dosyć pan dyrektor o młodszym ordynatorze, że jest to rodzaj miotły nowej, zamiatającej zbyt energicznie, która się rychło zedrze i podobną stanie do każdej innej. Objawił się ten przychylny nastrój zwierzchnika nietylko zdwojonemi uprzejmościami w obejściu, ale i jawnem wyrażeniem zadowolenia, uznaniem dla użytecznej pracy, co razem wzięte o tyle było bezpiecznem, że nie pociągało wcale, wedle przyjętego zwyczaju, żadnych oznak wdzięczności w formie czynnej.

I tak rozstali się dzisiaj ze sobą ci dwaj ludzie, z których starszy chwalił obłudnie, a młodszy przyjmował te pochwały wprost jako wyrzut sumienia, towarzyszący każdemu niespełnionemu obowiązkowi.

— A to go usatysfakcyonowałem dzisiaj! — mruczał zstępując ze schodów dr. Werner. — Kto wie czy w ten sposób zasługując się, nie wytargowałbym i dla siebie jakich korzyści. No i byłaby egzystencya znośniejsza niż dotąd, gdyby tak kopnąć i odrzucić od siebie wszystkie skrupuły. Tych skrupułów, którymi się opancerzyłem przeciw poniżeniu, ja nie potargam, obranemu zawodowi się nie przeniewierzę, ale w jaki sposób żyć będę dalej? Niechaj mnie powieszą, a nie umiałbym w tej materyi powiedzieć jednego słowa rozsądnego. Czasy alchemii i czarów skończyły się niestety, a mnie zwyczajnymi środkami nie wydobyć się z tego położenia. Gdybyż nie ta specyalność... ale „vade retro satanas!" To także kwestya honoru do pewnego stopnia. Zaangażowany jestem — zagalopowałem się. Tyle sporów koleżeńskich, w których sam jeden broniłem mego założenia wbrew wszystkim, a tu nie minęło pół roku od czasu uzyskania dyplomu, a ja będę kapitulował sromotnie. Wreszcie jak tu przyjąć na siebie obowiązek, którego nie spełnię — znaczyłoby to nietylko narazić się na śmieszność w opinii blizkich, ale co gorsza, poniżyć się w oczach własnych.

Wszystko przemawia za tem, żeby stać przy swojem niewzruszenie, tylko nie widzę jednocześnie zapłaconego krawca, księgarza, no i kogoś tam jeszcze, bo mi się coś po pamięci błąka, czego sobie przypomnieć nie mogę na razie. Wiem tylko, że coś jeszcze dłużny jestem, i że termin zapłacenia tej rzeczy bez nazwy, także już minął. Zresztą, jeśli ja zapomnę—ludzie przypomną sami—mówił do siebie dr. Werner, wciąż chodząc po obszernym przedsionku zakładu. Zastanowił się, że zwraca w tej chwili na siebie uwagę całej służby, której w dodatku poranne jego zajście z krawcem obcem do tej pory nie było z pewnością; obejrzał się kilkakrotnie dokoła, i zrozumiał konieczność wyjścia, nie dlatego, aby gdziekolwiek pilno mu było się udać, ale że pozostanie tu na miejscu było dlań prostem niepodobieństwem. To miejsce wydało mu się w tem chwili więzieniem prawdziwem.

Szary mrok ponurego dnia listopadowego, zapadał powoli nad miastem; śnieg wilgotny zasypywał grubymi płatami brudne podwórze, a rzadkie na ulicy rewerbery gazowe migotały blademi światełkami żółtej barwy, które wiatr miotał we wszystkie strony. Podniósł do góry kołnierz paltota i szybkimi kroki zmierzał teraz ku ludniejszej stronie miasta ciągle jeszcze zatopiony w myślach, które mu truły spokój przez dzień cały. Wiedział, że iść trzeba, ale żeby celem tej wycieczki miał być obiad, codziennie w tych mniej więcej godzinach spożywany, o tem nie pomyślał naprawdę. Nie czuł zresztą wcale głodu; emocye jego ranne były tej natury, które odbierając spokój ducha, powstrzymuje zarazem wszystkie potrzeby, pragnienia i pożądania, a zostawia miejsce dla jednej tylko myśli wyłącznej.

Gdy ujrzał niespodzianie czerwone światła dwóch latarni wiszących ponad bramą, przypomniał sobie, że to spóźniona już pora obiadu, i że tym razem nogi wyręczyły głowę, przyprowadzając go automatycznie w to miejsce, w którem dzięki odżywieniu ciała, najrychlej przywróci sobie naruszoną równowagę organizmu. Myśl wydała mu się zbawczą, i dlatego raźniejszym krokiem ruszył w podwórze, gdzie w prawej oficynie mieściła się trzeciorzędna restauracyjka, dostarczająca klientom swoim przygodnym za średnią cenę pożywienia o wiele niższego wartością niż średnie, a abonamentowym, do których się liczył i dr. Werner—pożywienia, które zaledwie zasługiwało na tę nazwę.

Obiad kończył się; sala restauracyjna opustoszała już prawie i tylko zmięszane tumany pospolitych gatunków tytoniu, poplamione obrusy i podłoga upstrzona munsztukami papierosów, świadczyły o rodzaju klienteli, jaką posiadał zakład. Usługująca kelnerka, doskonały typ zwiędłej kawiarnianej piękności, nawiasem rzekłszy, daremnie kusząca się od paru miesięcy o przychylny uśmiech młodego lekarza, dzisiaj sztywna jakaś i majestatyczna, zapytała go regulaminowem: Pan—obiad? a po ruchu głowy potakującym, odeszła z twarzą i gestami obrażonej księżniczki.

Dr. Werner machinalnie chwycił leżący przed nim chleb w przekonaniu, że żołądek jego gwałtownie się dopomina o jakiekolwiek zadosyćuczynienie, ale po ugryzieniu pierwszego kęsa, odrzucił od siebie resztę z niechęcią, mruknąwszy tylko przez zęby:

— Chcą, żeby u nich jadać, a dają chleb gorzki jak piołun.

Obiad wydał mu się o wiele gorszym, niż zazwyczaj, odsuwał ciągle zaledwie napoczęte talerze, w końcu ruszywszy ramionami na coś, co nazywane tutaj było leguminą, chwycił za leżący na sąsiednim stoliku „Kuryer" i zagłębił się wzrokiem w tę stronnicę, na którą najpierw padły jego oczy, a której nie oglądał nigdy. Dziś było mu to wszystko jedno. Oko biegało po zadrukowanym papierze, nie przenosząc prawie do mózgu odebranych wrażeń.

Naraz drgnął nieco, przetarł oczy, spojrzał raz jeszcze od góry na tytuł: „Zaofiarowane" i ostatnie w tej rubryce ogłoszenie przeczytał, sylabizując prawie wyraz po wyrazie trzy razy z rzędu — w końcu odrzucił z gniewem pismo, powiedziawszy głośno zupełnie, tak, że zwrócił nawet uwagę pijącej obok grupy ludzi młodych.

— Co mnie to wszystko obchodzić może!

Nie z głębi przekonania bynajmniej wydobył się ten wykrzyknik, bo zaledwie odrzuciwszy gazetę, sięgnął po nią powtórnie, i tym razem zupełnie prawie głośno przeczytał:

„W mieście liczącem do 3,000 mieszkańców wakuje stanowisko lekarza. Okolica ludna i zamożna — praktyka znaczna, jak o tem najlepiej objaśni lekarz na miejscu. Wiadomość w Warszawie ulica X, numer N, mieszkania nr. Z."

Biesiadujący przy piwie odwrócili głowy, jeden z nich ruszył ramionami, drugi się uśmiechnął szyderczo, któryś pozwolił sobie nawet na niezbyt pochlebny komentarz dotyczący trzeźwości tego monologującego pana, ale d-ra Wernera uwagi nie zwróciły ani te gesty, ani słowa nawet. Siedział wsparłszy głowę na rękach czas jakiś, a następnie wydobytą z kieszeni chustką otarł spocone czoło. W końcu, tak jak gdyby się właśnie zdobył na ostateczne jakieś postanowienie, wyjął notatnik i szybko, gorączkowo nawet, przepisał adres zamieszczony u spodu ogłoszenia.

Z kwadrans może jeszcze pozostał na miejscu; przychodzili już teraz ludzie przepędzający tutaj po godzinach pracy wieczory całe, należało tedy pomyśleć o opuszczeniu restauracyi, bo ton towarzystwa i jego hałaśliwe rozmowy pozostawiały wiele do życzenia.

Dr. Werner podniósł się z miejsca,ale w tej chwili znalazła się przy nim imponująca kelnerka, która tak jak gdyby recytowała wyuczoną lekcyę, zapytała podniesionym głosem:

— Pan płaci?

Cały jeszcze pochłonięty myślami własnemi odpowiedział dr. Werner wpółprzytomnie:

— Co? dlaczego?

— Dlatego — ciągnęła dalej dziewczyna — rzucając okiem po obecnych, aby sprawdzić, czy dostatecznie jest rozumianą — dlatego, że pani przypomina o abonamencie, który się skończył przedwczoraj.

— Bardzo dobrze!—wiem.

— W takim razie pan zapewne płaci obiad wczorajszy i dzisiejszy?

Znowu zapytanie głośne i znowu obserwacya pijących gości, azali ich doszła ta interpelacya. Najwyraźniej rzecz była obmyślana i przygotowana

Zagabnięty w ten sposób przebiegł myślą położenie, przypomniał sobie ranne ogołocenie się z reszty gotówki, niemożność chwilową zadosyćuczynienia żądaniu, więc robiąc heroiczny wysiłek, rzucił napastliwej prześladowczyni swojej krótkie:

— Płacę przy bufecie!

(Dalszy ciąg nastąpi)

KRONIKA.

Program obrad.

Porządek dzienny na posiedzeniach IX-go zjazdu lekarzy i przyrodników polskich, zwołanego w sprawie zwalczania gruźlicy, ułożono już stanowczo, i w tym celu cały materyał rozdzielono pomiędzy 4 grupy.

W pierwszej roztrząsane będą czynniki przyczynowe i sposoby szerzenia się gruźlicy, wpływ warunków usposabiających, i spostrzeżenia dotyczące tak zwanej dziedziczności. Sprawozdawcami tego działu będą: Dr. Bądzyński profesor hygieny na wydziale lekarskim we Lwowie—z Warszawy doktorowie Hewelke i Sokołowski.

Druga grupa będzie mieć sobie przedstawione dane statystyczne odnoszące się do cierpień gruźlicznych w Galicyi, W. Księstwie Poznańskiem, i Królestwie Polskiem, a także porównawczą statystykę większych miast Europy wraz z oznaczeniem wieku, zajęcia, i innych warunków życiowych, osób podległych chorobom gruźlicy, równie jak odpowiednie cyfry poczerpnięte z Towarzystw ubezpieczeń na życie. Referentami będą: Dr. Merunowicz protomedyk z Galicyi—z Poznania dr. Karwowski — z Warszawy doktorowie: Polak, Tchórznicki, Sterling, Dmochowski i Dobrski.

III grupa roztrząsać będzie środki zapobiegania gruźlicy, sposoby niedopuszczania jej w zdrojowiskach, i sanatoryach — tu też postawiony będzie wniosek utworzenia stałego komitetu w celu walki z gruźlicą. Zabierać będą głos: Profesor dr. Bujwid z Krakowa—z Królestwa doktorzy: Dobrzycki, Janiszewski i Babiński.

Nakoniec grupie IV ostatniej przedstawionym będzie materyał sprawozdawczy, zebrany z istniejących zakładów, lecznic sanatoryów i ich wpływy na chorych tuberkulicznych. Tu też rozpatrzą członkowie plany, kosztorysy i sposoby urządzenia sanatoryów dla chorych zamożnych—średniej zamożności i dla warstw ubogich. Przemawiać będą doktorzy: Dunin z Warszawy, Sterling z Łodzi i Wroński z Otwocka w sprawie sanatoryów dla Królestwa Polskiego — doktorzy Janiszewski i Dłuski o sanatoryum w Zakopanem — doktorzy Jaruntowski i Karwowski o sanatoryum, które w W. Księstwie Poznańskiem wejść ma w życie niebawem.

Towarzystwo opieki nad obłąkanymi.

Pierwsze zebranie tego Towarzystwa, założonego na zasadzie ustawy normalnej dla towarzystw dobroczynnych, w dniu oznaczonym przyszło do skutku, dla braku jednakże członków odroczyć musiało nakreślenie programu działalności do przyszłego posiedzenia oznaczonego na miesiąc Wrzesień. Tymczasem obecni upoważnili prezydującego profesora Brodowskiego, redaktora Libickiego i d ra Rychlińskiego do zapisywania członków i przyjmowania składek, które z chwilą zorganizowania się Towarzystwa przelane zostaną do kasy instytucyi.

Dar jubileuszowy.

Pisma codzienne donoszą, że komitet jubileuszowy zawiązany dla uczczenia zasług Henryka Sienkiewicza, nabył nakoniec w powiecie Kieleckim nieruchomość ziemską, aby ją wręczyć w darze umiłowanemu wielce pisarzowi, którego gniazdo rodzinne rozniosły wichry i burze, jak nam to sam powiada z serdeczną tęsknotą w jednym z młodzieńczych utworów swoich, napisanych przed dwudziestu zgórą laty.

Po raz drugi składa kraj upominek tego rodzaju—pierwszym, który go otrzymał był Wincenty Pol. I wtedy i dzisiaj nie dorównała wartość temu, coby wezbrane serca ogółu chciały złożyć jako wyraz wdzięczności swojej—i wówczas, i dziś przekonaną być może społeczność, że intencya stanowi w tej sprawie wszystko. Wioska ofiarowana Sienkiewiczowi leży o godzinę drogi od Kielc w położeniu bardzo pięknem; nomenklatura jej, jak zapewnia jedno z pism, zmienioną ma być na nazwę „Krzemień,“ aby przypominała powrót na rolę tego, który z roli wyszedł i zachował dla niej w sercu całą miłość i cześć.

Rozstrzygnięcie konkursu.

Konkurs na grę pedagogiczną ogłoszony przed kilku miesiącami przez redakcyę „Przeglądu pedagogicznego,“ rozstrzygnięto w początkach bieżącego miesiąca. Żadnej z 12-tu nadesłanych prac nie przyznano nagrody pierwszej, druga zaś w ilości rs. 50 przypadła p. Wacławowi Johnowi za jego grę pod nazwą: Mrowisko. Wzmiankami przychylnemi nagrodzono gry: „Farys“ i „Śladami Mickiewicza.“ Redakcya ogłaszająca konkurs zapytuje autorów dwóch wymienionych gier, czy nie mieliby nic przeciw ujawnieniu nazwisk, albowiem zgłaszają się nabywcy, którzy życzą sobie zużytkować te pomysły w celach handlowych.

Dobroczynność.

Budowa domu mającego służyć za pomieszczenie sierot dziewcząt Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności przy ulicy Rakowieckiej, za rogatką Mokotowską, wykończoną już będzie w krótkim czasie, tak że w jesieni gmach cały oddanym zostanie do użytku. Przy tym przytułku otworzoną będzie dla starszych wychowanic zakładu szwalnia imienia p. Julii Wiemanowej. W obrębie zabudowań stanowiących własność przytułku, ma być urządzoną na potrzeby miejscowe kaplica, o której otwarciu poczyniono odpowiednie przedstawienia do władzy właściwej ze strony rady miejskiej dobroczynności publicznej.

Kassa literacka.

Na ostatniem posiedzeniu komitetu kasy pomocy dla literatów i dziennikarzy, złożył redaktor „Kuryera Codziennego p. Libicki rs. 800 w papierach procentowych, jako kwotę nadesłaną komitetowi przez p. Ludwika Jenikego byłego redaktora „Tygodnika Illustrowanego“ z wyraźnem wskazaniem przeznaczenia, jakie ma mieć ten fundusz. Powstał on ze składki złożonej przez kolegów ś. p. Józefa Keniga w dniu święcenia jego roku jubileuszowego i został przez jubilata przeznaczony jako kapitał żelazny, którego odsetki służyć mają na zapomogę dla biednego ucznia, syna literata lub dziennikarza. Ś. p. Józef Kenig rozporządzał tym funduszem wspólnie z p. Ludwikiem Jenike, który obecnie na żądanie rodziny zmarłego, sumę powyższą przeznacza kasie literackiej. Na własność otrzymuje kasa literacka wybór książek z biblioteki ś. p. Józefa Keniga i księgozbiór ten już odebrała kasa i umieściła w lokalu swoim.

Redakcya „Tygodnika Illustrowanego“ przekazała kasie podobnie jak w roku ubiegłym rubli 98 powstałe z rubryki Tygodnika „Grafologia.“

Ruchome oddziały okulistyczne.

Pisma codzienne podają sprawozdania z działalności delegacyj wysłanych w roku bieżącym przez instytut oftalmiczny im. ks. Edwarda Lubomirskiego. I-y z tych oddziałów wysłany w gubernię Warszawską przez czas swego pobytu w mieście Pułtusku od 1 Czerwca do 1 Lipca przyjął ogółem chorych 752, udzielił porad 1833 i dokonał 140 operacyi. II oddział przeznaczony w gubernię Radomską w mieście powiatowem Opatowie w tym samym okresie czasu udzielił porad 2,679, przyjął chorych 1.350, a operacyi wykonał 57. III oddział udawszy się w gubernię Lubelską pod datą 15 Czerwca pozostaje dotąd w Krasnymstawie i po chwilę sprawozdania naszego wykonał operacyi 40 i dał posłuchanie 1,060 chorym. IV oddział wysłanym zostanie w dniu 1 Sierpnia do m. Rawy w gubernii Piotrkowskiej. Dla V oddziału udającego się do Białej w gubernię Siedlecką dzień wyjazdu dotąd nie naznaczony.

Letnie mieszkania.

Jak donoszą zamieszkali w blizkości Warszawy letnicy, dużo mieszkań w roku bieżącym zostało niezajętych. Czy rok, materyalnie biorąc mniej jest pomyślny niż poprzednie, czy dalsze okolice odciągają ludzi szukających dla siebie i dzieci piękniejszych krajobrazów i dogodniejszych warunków niż te, które można znaleźć w paromilowym promieniu—czy nakoniec brak udogodnień i wyzysk wzrastający ciągle, zbytecznie już dokuczył matkom rodzin i gospodyniom domów — nie wiemy, ale wydaje się, że wszystkie te przyczyny złożyły się razem na przykry zawód, na który utyskują spekulanci willegiatury.

Wskazówki i rady.

Własności i oznaki dobroci jarzyn.

Jarzyny strączkowe. Są to wszystkie gatunki grochów i fasoli, które bardzo młode, a zatem niedojrzałe jeszcze, po ugotowaniu razem ze strączkami, i odpowiednio przyrządzone, smaczną potrawę stanowią. Najwięcej nadaje się tu groszek cukrowy, nie posiadający wcale twardej owej błonki z wewnętrznej strony strączka, a zatem mogący być spożyty w całości. Kupując strączki uważać trzeba aby były świeże, zielone i nie robaczywe.

Jarzyny owocowe. Do tych należy ogórek; główną zaletą ich aby były świeżo zebrane, nie przestarzałe, nie przejrzałe. Nigdy na żaden użytek nie należy wybierać ogórków żółtych, powinny być zielone, twarde, mieć czystą i cienkę skórkę i być tak kruche, aby się łamały za najlżejszem nagięciem. Miazga czyli środek ogórka ma być białozielonkawy, jędrny, przezroczysty, mieć smak łagodny, nie gorzki. Zły ogórek będzie krzywy, żółty, plamisty, miękki i zwiędły. Do kwaszenia najlepsze są ogórki zielone podłużne.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 4 Іюля 1900 г. Redaktor **Jan Skiwski.** **DODATEK.**
Wydawnictwo i druk Warszawskiego Towarzystwa Akcyjnego Artystyczno-Wydawniczego.